

W 1944 roku bataliony „Uderzenia”, które szły z lasów szelągowskich, knyszyńskich przez Puszcze Augustowską, Puszcze Ożar, Czarny Las aż pod samo Wilno. Oddziałów było tyle żeby zająć Wilno. Młodzież, oddział liczył wtedy 120 osób. Ukończyłem szkołę podchorążych w 1941 roku, w oddziale Żwirki koło Szczebrych, Olszanki, w Puszczy Augustowskiej Augustowskie. Jako oddziały „Uderzenia” przesunęliśmy się przez część Litwy do Lidy i pod samo Wilno, tam zostałem ranny pomiędzy Starą Wilją a Nową Wilejką. Początkowo przypuszczaliśmy, że rzucili Niemcy desant, a to rzucili Rusczy. Tam jest taki klin gdzie Nowa Wilejka wpływa do Wilji, dużo tam jest krzewów. Myśmy tam byli przez 6 dni.

Jak Rusczy rzucili desant, wzięli nas jako grupę, oddziały wileńskie; ok. 1200 osób. Przywieźli nas do Mariampola. Front przesunął się już bliżej, Niemcy odstąpili na tereny Augustowa i Prus Wschodnich, front się zatrzymał. Cel był taki, żeby włączyć nas do polskiej armii ponieważ mieliśmy trochę praktyki, kilka lat z bronią w rękę. Był za nami generał Orlicz, były dowódca DOK 3 Grodno.

Do Mariampola przyjechał generał Berling i mieli wcielić nas do polskiej armii. Ja nawet troszeczkę oponowałem. Jego słowa były takie: ponieważ mamy broń nieujednoliczoną, mamy ją zdać; wcielił nas do armii i dadzą nową broń. Jak tylko zdaliśmy broń skończyły się wszelkie nasze marzenia. Rusczy tej samej nocy ogrodzili nas, bo to były koszary, i nie mieliśmy już wyjścia żadnego. Po kilka osób ładowali nas na samochody i na stację.

Pierwszy transport poszedł w sile ok. 1000 ludzi. Wywieźli nas aż na Ural, do miasta Kizel, za Mołotowem, kiedyś to była nazwa Pien – Pierwyj, Pierwszy. Tam skoncentrowali nas do kopalni. Dojechało nas ok. 200 osób, nie więcej, z transportu. Nie dawali jeść, tylko trochę śniegu, porcję soli, co się nam należała, śledź. Ale żadnej wody, ani ciepłej, ani zimnej; trochę śniegu. Dezynteria poszła, ludzie się wykończyli. Ja byłem bardzo mocno opuchnięty. Jak nas tam przywieźli, chciało mi się bardzo mocno pić, dali wody, kawy – nie mogłem się napić, bo organizm wycieńczony – wieźli nas ok. 30 dni. Opuchłem aż po same piersi, myślałem, że to już koniec, serce zajmie i nie ma. Był lekarz pochodzenia polskiego, chyba jeszcze z carskiej armii wywiezieni jego rodzice, Jeziorowski. On mówi: synku, ja ciebie muszę uratować. Finał był taki, że on mnie wziął do separatki, to nie był szpital. To było na kopalni, 33 kapitalna kopalnia, ale to chyba nazwa sama, tam kapitału trzeba było do niej. To było w rejonie Mołotowa, *oblast*.

Może panią dziwi, że ja nalotu nie mam rosyjskiego? Ja tam odsiedziałem 11 lat i 3 miesiące. To jest dużo.

Zaczepiłem się jako ślusarz, to może mnie i ratowało, bo praca lżejsza. Ale co zejdzie brygada na dół, 30 osób wraca, 25. Kopalnia bardzo mokra, zawały. Pozostała nas już tylko garstka. Zadecydowali przewieźć nas do więzienia, do Mołotowa. Stare, potężne więzienie. Po kilkanaście osób, dali nam prowiant...

Ja do tej pory nie mogę sobie uświadomić sobie jak to się mogło stać, że człowiek jeszcze w tym wieku był taki naiwny. Transport, w jedną stronę. Wieźli nas rzekomo do Polski i tłumaczyli nam wprost, że ponieważ transport zajęty frontem, że oni nas będą po kilka osób odstawiać do Polski, bo tam jesteśmy potrzebni. Dawali prowiant – tytoń, machorkę, kaszę, parę konserw, trochę chleba, cały worek. Nas pięciu, jeden sierżant z bronią krótką oczywiście, miał nas dostarczyć na jakiś punkt. Przywieźli nas do Mołotowa, a już w tym czasie tam wydzielili cały oddział parterowego budynku, nie w tym głównym więzieniu, ale w środku, oni to po rosyjsku nazywali (tłumaczenia bym nawet nie mógł zrobić na polski) *terkorpus*. Znaleźliśmy się tam w liczbie ok. 2000 ludzi.

Pyt.: Sami Polacy?

Samy Polacy. Z Wileńszczyzny, Ukrainy, Wołynia; nawet tych, którzy byli w Batalionach Chłopskich. Ukraińcy mieli do 1939 roku dowody osobiste, nawet i takich tam spotkałem. Przetrzymani nas tam ok. 2 miesiące i wygnali nas na taki plac przed gmachem i odczytali nam wyrok, zaocznie. 20 lat, czyli *dwadcat let isprawitielnych trudowych tagieriej*. Początkowo to myśmy myśleli, że żarty sobie robią, kto wtedy z nas słyszał o takim wyroku, 20 lat! Punktów nam napchali ile chcieli. I powstanie z bronią w rękę, już w obozie – znaleźli jakiś nożyk z blaszki, bo chleba trzeba było ukroić, i szpiegostwo, i dywersję, sabotaż, tych punktów niezliczona ilość.

Pyt.: Wyczytywali nazwisko każdego czy tak hurtowo?

Nazwiskami, nawet alfabetycznie.

Pyt.: Kiedy to było?

Już w 1946 roku. Bo w 1944 roku zimą nas wzięli. Jak otrzymaliśmy ten wyrok, to rozesłali nas w taki sposób, że ja się przez te 11 lat nie spotkałem ani z jednym, z którym tam byłem. Może pani sobie z tego wyobrazić jaka siatka obozów musiała tam być, żeby nas tak rozesać. Kiedy przyszedł już mój termin, to w grupie 10 ludzi wsadzili do samochodu – *czornyj woron*, zamknięta skrzynia i dopiero wtedy zostałem więźniem naprawdę, bo już wtedy nie cackali się, mogli szturchnąć, popchnąć... Przywieźli mnie do Swierdłowska na Uralu.

Po kwarantannie, po dwóch miesiącach, przywieźli mnie do Karagandy. Cudowne miasto. Do kopalni 21, tam troszeczkę pracowałem. To była kopalnia nie węgla, nie miedzi, tylko *margańcu*, to chyba jest domieszka rudy, bardzo sypki, nie jak węgiel. Tam było bardzo dużo zawałów. Co tylko pójdzie pięciu, sześciu, do takiej ławy do wydobywania dojdą – zasypało. I nikt tam się nie cackał by kogoś wyciągnąć! Zginął to zginął, nie ma, to nie ma. Wyjeżdżają na górę, liczą ludzi, nie ma, nie ma siedmiu, ośmiu, no i dobrze! Nie ma to nie ma, mniej do karmienia. Stamtąd zacząłem myśleć, żeby się dostać na jakąś lżejszą pracę, nie do kopalni. Nawet głodowałem przez jakiś okres, ale... Był

ze mną taki Bułgar, inżynier, i mówi: słuchaj, co pan sobie robi? Przecież to minimum co oni nam dają to jest minimum egzystencji. To nie jest tak, że panu dają najeść się; tylko tyle by mógł pan kroczyć i cośkolwiek robić.

Zaczęli budować od Karagandy wąskotorówkę i dostałem się tam razem z naszymi ludźmi do warsztatu na remonty maszyn spalinowych, wagonetek, a że z zawodu byłem tokarzem, to poszło mi to lekko i już tam miałem na miejscu wodę. W warsztacie pracowali Ruscy, którzy po ukończeniu wyroku nie mieli prawa wyjazdu. Struktura była taka, że na przejazd z jednego do drugiego powiatu trzeba było mieć przepustkę, nie można było poruszać się.

Jak nas zegnali, ok. 5000 osób i w pierwszym rzędzie budowanie baraków.

Jak nas przywieźli, nic tam nie było. Czysty las, zagnali nas, nie ma wody, nie ma czym dowieźć, nie ma nic. Dawali nam po trzy pastylki na dzień, żeby oczyścić wodę z bagna, jak się wrzuci do kubka to musująca robi się pianka, muszki trzeba zdmuchnąć. Finał tego, że po 9 miesiącach czasu dalej już tej drogi nie budowaliśmy, bo brakło ludzi. Ja przetrzymałem dzięki temu, że wolni z tygla spuszczały wodę z maszyny i ja miałem tam swój baczek, w którym cały czas miałem wodę. Woda, kawałek chleba, od nich też dostawałem, Ruscy podtrzymali mnie troszeczkę. A ci, co byli już na trasie, budowali, kilkunastu dziennie padało... Ludzi pod ziemię, na to podkłady, szyny i tory poszły. Zanim brakło ludzi to chyba ok. 140 km toru przeciągnęli nasi rodacy. Jak brakło to już chyba na tym koniec, nie miał już kto tego dalej robić.

Pyt.: To była kolej z Karagandy dokąd?

Żadnego miasta, tylko lasem. Ale dokąd? Budowali prosto, bo taka droga potrzebna była do wywózki lasu.

Pyt.: A obóz miał jakiś numer?

Tak. Numer 17. Pierwszy, w którym przedtem byłem, to był tzw. *Urallag*. Ten to tylko 17, ale obozów było mnóstwo. Jak już stamtąd brakło ludzi, została nas tylko garstka, to znowu zaczął szykować się transport. Badania lekarskie, w transport i przywieźli nas do Buchty Nachodki. Budowaliśmy tam port Wanino.

Pyt.: Kiedy pan tam wylądował?

W 1947 roku albo 1948. I tak samo. Dostałem się do warsztatu, bo figuruję jako tokarz, a oni szukali specjalistów, żeby warsztat jakoś funkcjonował. Maszyn trochę było, betoniarek pełno, to trzeba było stale uzupełniać jakąś śrubką czy podkładką, a nic nie dostawali, trzeba było z grubszego robić cieńsze i odwrotnie. I tam właśnie spotkałem Glińskiego. Jakiś rodak, kierownik warsztatu, chciał się nauczyć po polsku i mówi: Wy tam Polaków macie więcej, my ich tu zatrudnimy. Polszczyzną łamaną mówił, ale chciał lepiej, bo gdzieś tam miał polskie korzenie. Właśnie tego Glińskiego wziąłem do warsztatu, początkowo jako pomoc, potem zaczął przy ślusarzach robić. Tam nie zagraliśmy długo.

Pyt.: Czy inne nazwiska Polaków pan pamięta, może z Karagandy?

Gliński, Leszczyński — on teraz chyba w Lublinie.

Finał był taki, że zabierają nas stamtąd i wywożą do Dżekazganu, do kopalni. To jest w Kazachstanie, ale gdzie Karaganda, a gdzie Dżekazgan, to są kilometry! U nas z trudem czsem 30 km się przebywa, a tam jedzie 200 km podlać sobie działkę ogrodową (mieli je wolni, którzy pracowali). Dostałem się tam do obozu nr 3 w Dżekazganie, tam był pierwszy, drugi i trzeci obóz. Grono naszych rodaków też tam było, m.in. Kaczyński, ale pozostała nas garstka. Leszczyński, Gliński zmarł, jest w Częstochowie Burtan, mieszka na Findera 1, i imiennik mój Kozłowski Bronisław, mieszka na Starej Hucie, ale numeru nie pamiętam.

Tam pracowałem w tzw. eksperymentalnych *Mascieskyje Akademii Kazackich Nauk*, nawet miałem brygadę ślusarzy, tokarzy, frezerów. Tam była odlewnia, Ruscy oprócz Polaków mieli mnóstwo Niemców i naprawdę tamten warsztat był nowoczesny, można było się czegoś nauczyć. Dzięki temu, że ja się tam dostałem i mogłem egzystować troszeczkę lepiej, bo już tego chleba tam nie brakowało, za machorkę nie musiało się oddawać chleba, tam się coś zarobiło w brygadzie. Jakieś nożyki, kłódki, łyżki się odlewało. Ruscy przywozili tam mnóstwo samolotów do przetapiania i dużo było aluminium i duraluminium, ale rynek był chłonny. Co by się nie zrobiło, byle łyżkę, widelec, wszystko szło na rynek za chleb. Brali to i konwojenci, i wolni, którzy pracowali z nami. Już nam było lżej. Jeden jeszcze ziomek żyje w *Czaplinku*, Jakubik, ulica Sikorskiego 1, z którym jeszcze utrzymuję kontakt. Z kolegów żyje jeszcze Czesław Sawicz, ale aż w *Olsztynie*, ul. Kościuszki 16/18 m.15. Jeszcze z tych niedobitków jest Turzański Zygmunt, mieszka w *Głubczycach*, Sobieskiego 12/10. To chyba wszyscy z tych niedobitków, którzy powrócili. Ci co żyją. Ten Dżekazgan pochłonął mnie ok. 5 lat i już kiedy dotarło do nas, że w jednym miejscu Polaków pozwalniali, w innym, a do nas nic nie dotarło. Bo to zawsze jakiś nowy transport przyjdzie, to co Polaczki jeszcze siedzą? A od nas wzięli! Ale mimo interwencji nie udało się nam wcale wyrwać się stamtąd. Od tego czasu wywożą nas, zbiera się transport na koncentrację obcokrajowców do miasta Czurbaj — nura, w Kazachstanie. I tam dopiero spotkałem się z tymi ludźmi, którzy wytrwali. Z jednej strony miasto obozów, a z drugiej strony budowaliśmy miasto Czurbaj — nura. Dzielił nas taki większy plac. Wyprowadzali brygadami, mieli ogrodzone po dziesięć budynków, kwartałami.

I przyszedł 1955 rok kiedy mieli jechać najpierw Niemcy, jakiś tam układ był między nimi. Rozebrali ich, dali im ubrania drelichowe, ale już nowe. Chcę zaznaczyć, że mieliśmy wycinane od szwa do szwa pasy białe a na tym numer, tak samo spodnie, wycięty kawał, i na plecach, taki duży szew. Numery musiały być co tydzień odświeżane, żeby były widoczne. Numer mój to SF 292, jeden z pierwszych numerów, jakie były. Naraz zatrzymują Niemców, idzie wersja, że Polacy jadą. Niemców rozebrali i zaczynają nas ubierać. Finał jest taki, że wzywają nas alfabetycznie. A nas tam kupa ludzi, ok. 1000 i dowiedzieliśmy się, że na tej liście jest tylko 120 z naszych. Cały obóz nie śpi.

Zaczynają od litery A, zanim doszło do mojej, trwało pół nocy. Może taki zbieg okoliczności. Ruskim ciężko było wymawiać słowo 'Mieczysław', no to Miszka, Michaił, i tak wszędzie, na dokumentach oczywiście Mieczysław

Pawłowicz, po ojcu. Krzyczą, że „Kozłowskiemu dawać”. Tam jest taka taktyka, że jeżeli nawet kropki nad i nie ma, już jest błąd, zaczynają wtedy sprawdzania i zanim człowiek wróci, to potrwa kilka lat, albo wcale. Zachodzę, mówi „siadaj”. On siedzi w rogu, pokój duży. Zaczyna się jak zwykle: imię, imię ojca, od do, data urodzenia, jak i skąd, gdzie... Mówię: Mieczysław Pawłowicz. On patrzy: „jeszcze raz powtórz”. Powtarzam. A on: „cały czas idziesz jako Miszka, Michaił”. Ja mówię — „bo wam tak było lżej”.

Takim cudem dostałem się do transportu Polaków. Ubrali w drelichowe, marynareczkę, koszulę, kalesony, buciki nowe, czapeczkę no i waciak. Wyprowadzili za obóz i — jestem wolny. I czekam, chodzę po tym mieście, co budowaliśmy. Pieniążków nie mam, po co iść, gdzie. A już mieliśmy lepiej, bo pieniądze zaczęli nam płacić, jakąś część, w każdym razie na cukier, na machorkę już mieliśmy. Bo do tej pory jak człowiek nie był zaradny to ginął. Ja miałem wtedy już 46 kg wagi, potęga! I tak przyjechałem do kraju.

Jak zebrali nas wszystkich, na samochód, do Karagandy na stację i przywieźli nas do Połomy, to też obóz. Z jednej strony część inwalidów, a jeden sektor przeznaczili dla nas, jadących do kraju. Zwożą tam co noc ludzi, ale oni po polsku nie rozmawiają — nawieźli Ukraińców. Jak wcześniej zaznaczyłem, ten, który miał polski dowód do 1939 roku, miał wracać do Polski. I powstała u nas w obozie rozróżba. Nawet doszło do strzelaniny Ruskich, którzy tam byli, było trochę ofiar. I selekcja. Przyjechała generalicja, bo to blisko Moskwy. Co jest, jaki powód. A oni szykowali się na nas, że w pociągu, jak będzie jechał, oni z nami się rozprawią. A rdzennych nas była garstka. W sumie po kilku dniach Ukraińców odebrali od nas — gdzie ich wywieźli, do tej pory nie wiem. Rdzennych Polaków było nas 119 osób, w tym 18 kobiet i 101 mężczyzn. I w takim składzie, w cztery wagony towarowe załadowali nas, dali sienniki, poduszki, koce, jedziemy do Polski.

Przywieźli nas do Brześcia. Prawie wszystko żeśmy sprzedali, bo na każdej stacji trzeba było coś zjeść. Prowiant był już względny. Przywieźli nas do Brześcia, na stację, do boksów — nie wiem dlaczego, miasto przygraniczne. Ja miałem, jeszcze do tej pory mam, walizeczkę zrobioną z dykty. Przyjechał taki major, Zukin albo Złocin, spotkał się z nami. Ani „dzień dobry”, ani „do widzenia”, tylko spođe lba się patrzył. Podeszedłem do niego i mówię: „proszę pana, ja się dziwię, że my wracamy po tylu latach z tułaczki do kraju i pan w taki sposób...” — „Ja nie mam prawa z wami mówić, będziemy rozmawiali po naszej stronie”.

Załadowali nas do pociągu osobowego, do dwóch wagonów, i przyjechaliśmy do Białej Podlaskiej, czyli na punkt repatriacyjny w Grabanowie. I tam się dopiero załamałem na granicy — nawet nie wiem, skąd wiedzieli ludzie, że pierwszy transport akowców wraca do kraju. Zobaczyłem młodzież — ta pyta o matkę, o ojca, o syna. Płacz, lament. Ludzie jednak ubrani; tego nie było widać po „tamtej” stronie. Waciak, i wszystko. I młodość moja przeszła tam... Załamałem się, dostałem nerwicy, ale trudno. Przywieźli nas na ten punkt repatriacyjny. A przyjechała z nami nawet pani Irena Potocka, nie wiem z jakiej posiadłości. A ten punkt był pobudowany w posiadłości Potockich i ona wieczorem w takim dworku zobaczyła jeszcze dwa herbowe krzesła, zostały, nie zniszczyli, na nieszczęście nie zniszczyli. Zobaczyła, dostała szoku i rano mamy jej pogrzeb. Pochowaliśmy i generał Dreszer tak samo na trzeci dzień umarł. I co się dzieje? Jakaś grupka z tych naszych „rdzennych” Polaków żąda tłumacza, żeby przyjechał jakiś pełnomocnik rządu do spraw repatriacji, bo zapomnieli mówić po polsku. Czyli to sito, które było robione było w obozie w Połomiu było bardzo słabe, jeszcze duża część Ukraińców przyjechała z nami.

Pyt. A ta walka w obozie w Połomiu pomiędzy Ukraińcami a wami, powodem był nacjonalizm?

Nacjonalizm. Ja nie wiem skąd się oni wzięli, bo myśmy nie mieli takich możliwości. Oni chyba otrzymywali paczki, myśmy ich nie otrzymywali. Niemcy otrzymywali, Ruscy, Ukraińcy, a my nie, bo nasz rząd chyba liczył, że nam jest tam dobrze. Miałem pozwolenie napisać do domu kartę, w 1951 roku, w kilku słowach, że żyję, zdrow, pracuję i na tym koniec. Druk wypełnić i już. I takie zdjęcie miałem prawo przyszyć. Wróciłem do kraju, to po 3 miesiącach mama otrzymała moją kartę ze zdjęciem. Łotysz robił zdjęcia; zrobił mi trzy, a do tego zdjęcia jeszcze była taka pokryweczka z lusterkim. Robił mi Łotysz jako dowód, że byłem w AK; piękny ślusarz, tak grawerował, bez żadnych szablonów, prawą, lewą ręką. Pozostało mi jako pamiątka.

Jak wydali nam karty repatriacyjne pozwolili nam 7 km od miast powiatowych i wojewódzkich się urządzać. Tego o następnych transportach ja nie słyszałem, ale to było 28 września 1955 roku, taki okres... Z panem Glińskim zdecydowaliśmy się przyjechać tutaj. Początkowo byłem u jego rodziców, człowiek wycieńczony, kości i skóra, ale zdawałem sobie sprawę, że jestem u obcych ludzi, na obcym karku. Trzeba brać się za pracę, a ja wtedy nie miałem zupełnie sił. Doktor Szydło zaczął mnie trochę leczyć, ale na punkcie repatriacyjnym dali nam po 1000 zł i więcej nic. Kupiłem sobie płaszcz, pantofle, kapelusz nędzny. Miałem bardzo dużą brodę, zgoliłem ją w Warszawie i wyszedłem jak małpka, bo tu opalenizna, a to wszystko białe. Fryzjer mnie początkowo nie chciał golić, ale potem się udobruchał, uczeń mnie ostrzygł, a on zaczął golić, pudrem mnie zamazał. Czasy takie, że dopiero jak Gomułka doszedł do władzy dostałem dowód, czyli mogłem poruszać się w mieście, a tak byłem bez praw. Do ZBOWiDu bałem się nawet i pisać, bałem się jak swojego cienia, a straciłem dużo, bo koledzy, którzy razem ze mną byli, a jeszcze żyją, otrzymali Krzyże Walecznych, Virtuti Militari, a ja nic, nawet zdegradowali mnie do stopnia szeregowca. I wcale nie martwiłem się. Nie szukam. W ZBOWiDzie jestem już, bo coś się zaczyna zmieniać. Na podstawie dwóch świadków, którzy jeszcze żyli złożyłem te blankiety, oświadczenia. Nawet pomogłem p. Leszczyńskiemu do załatwienia. Mówiąc szczerze jeszcze do tej pory ja... niechętnie szedłem na tą rozmowę, jestem uczulony... Kiedyś też byłem młody a teraz dziad, powróciłem do kraju z myślą, że coś tu będę robił i nic, ręce związane, musiałem siedzieć cicho, milczeć. Do tego stopnia, że syn miał kłopoty z dostaniem się do szkoły, utrudniali mu, nawet teraz istnieją jeszcze jakieś dokumenty. Bo nie mogli znaleźć moich 11 lat. W 1955 mają, ale gdzie do 1955, gdzie był. Bo dostawał się do policji

syn, i pytali gdzie u ojca są te lata, musiałem dać dokument, że internowany w ZSRR od do. To chcieli porozmawiać. Byłem na rozmowie z majorem. Dziwił się, że jeszcze tylu nas pozostało, bo mogło być gorzej.

Pyt.: Jak pan był w Dżekazganie, obok był Kingir. W 1954, po śmierci Stalina, było powstanie krwawo stłumione, czy coś pan słyszał?

Tam żadne słuchy nie dochodziły, jak nas przewieźli do Czurbaj – nury, to myśmy byli zablokowani. Nas karmili tylko filmami, nawet w nocy, czyli uświadamiali, a rano trzeba było iść do pracy. *Kulturno – waspitielnaja czast'*. Był tam taki kapitanek, który sprowadzał filmy, tych obozów było mnóstwo. Do tego stopnia, że nie można było się porozumieć z drugim obozem. To było w Czurbaj – nurze. O powstaniu dowiedziałem się tutaj, w Polsce.

Pyt.: Kiedy się pan o tym dowiedział? Teraz, niedawno czy od razu?

Od razu

Pyt.: To znaczy że spotkał pan ludzi z Kingiru?

Nie, w rozmowie takiej naszej, że tam było... Może i szczęście, że człowiek udziału nie brał, bo ja byłem porywisty, ja bym nie mógł przepuścić, też bym ręce maczał, a skutki brzydkie

Pyt.: Wiele ofiar...

Bardzo dużo. Mam nawet mapę całą mojej trasy, którą trzymam jako relikwie. Wzięta od kapitana, który nas wiózł do Polski. Zaznaczyłem kolorami, leży u mnie jako archiwum. Żałuję tylko... Miałem taką kurtkę, sprzedałem już w Polsce i nie mam takich rzeczy... Walizeczkę tylko.

* * *

koniec